

Etyka i polityka.

Wywiad z prof. Marcinem Królem

ETYKA 48, 2014

Magdalena Środa: Etyka i polityka – czy można jeszcze poważnie mówić o jakichś modelach współpracy? Starożytni myśleli, że te dwie sfery pokrywają się zupełnie, że zarówno państwo, jak i polityka mają odzwierciedlać kosmos, pewien moralny ład. Podobnie myśleli teologowie chrześcijańscy. Nawet *Księżę Machiavellego* nie jest traktatem zalecającym pełen amoralizm, w końcu *Księżę* musi się troszczyć o dobro wspólne, posiadać określone umiejętności i cnoty. Czy są jakieś dobre współczesne teorie opierające politykę na fundamencie moralnym?

Marcin Król: Owszem. Pytanie brzmi jednak, czy tylko teorie, czy także rzeczywistość. W teorii przecież, i w olbrzymiej części tradycji filozofii demokracji, to właśnie demokracja jest jedynym w historii stanem społecznym (nie ustrojem!), który oparty jest na fundamentach filozoficznych i moralnych. Amoralna demokracja nie ma sensu. Demokracja jako ideał polega na tym, że wspólnie decydujemy się sami rządzić sobą, czyli składamy sobie wzajemnie fundamentalne zobowiązanie, które dotyczy także sfery moralnej, a może przede wszystkim sfery moralnej. Niektórzy filozofowie mieli zastrzeżenia do demokracji wynikające z tego właśnie, czy odpowiednio poważnie potraktuje ona sferę moralności jednostki. Na przykład moralista John Stuart Mill.

Jednakże demokracja, czy raczej to, co obecnie nazywamy demokracją, nie jest stanem społecznym, lecz tylko zespołem procedur. Procedury są moralnie obojętne i dzisiejsza demokracja proceduralna jest kompletnie obojętne w stosunku do moralności. Jest to stan niegodziwy. Można bowiem uznać, że polityka i moralność nie mają nic wspólnego, a wobec tego polityka to tylko sfera skuteczności. Nie można jednak jednocześnie głosić, że chce się realizować ideały demokratyczne (moralne) i zarazem w praktyce zupełnie ich nie uwzględniać. To już nie jest niemoralne, to jest po prostu cyniczne. Wreszcie, moralność staje się w związku z powyższym sferą prywatną. W tej sytuacji jednak politycy, parlamentarzyści i wszyscy inni nie mają żadnych podstaw do ingerencji w tę sferę, czyli podejmowania w głosowaniu arytmetycznym decyzji dotyczących moich spraw prywatnych. Politycy więc kompletnie się pogubili. Z jednej strony chcą rządów procedur, a z drugiej mówią o tym, co im dyktuje sumienie.

M.Ś. Kategoria sumienia coraz częściej jest używana w sferze publicznej. I to nie jako manifestacja siły moralności prywatnej, ale jako znak władzy „oficjalnej religii”. Czy religia lub religijność może być moralnym fundamentem polityki?

M.K. Nie wiem. Ale wiem, że wielu filozofów o tym myślało lub na to liczyło. I to bez względu na osobisty stosunek do religii. Klasyczne są obserwacje Tocqueville’a, który w religii dostrzegał wielką siłę pomocną dla demokracji właśnie, jako fundament moralności, ale zarazem przestrzegał przed jakąkolwiek polityczną rolą religii. Podobne poglądy znajdziemy u Daniela Bella czy Leszka Kołakowskiego. Czy też zupełnie ostatnio w książce Roberta Putnama *American Glory*. Tu jednak wchodzi w grę zasadniczo odmienna funkcja religii w Stanach Zjednoczonych i w Europie. To są sytuacje, których po prostu nie można porównywać. Dodam, że Tocqueville, pozytywnie rozważając rolę religii jako fundamentu moralności publicznej w demokracji, dodał jedno zdanie, którego współcześni liberałowie bardzo nie lubią przypominać. Napisał mianowicie, że religia jest potrzebna wszystkim z wyjątkiem tych, którzy dysponują dostateczną ilością czasu, inteligencji i pieniędzy, by samemu decydować o moralnym i filozoficznym kształcie swojego życia. I znowu teoretycznie rola katolicyzmu mogłaby być pomocna dla moralności demokratycznej, gdyby Kościół skupiał się na niesprawiedliwości we wszystkich sferach życia. Tak jednak nie jest, i nie ma żadnych nadziei na zmianę postawy Kościoła.

M.Ś. Niewielkie są też nadzieje na zmianę typów osobowości, które przyciąga polityka. Barbara Skarga wiele lat temu pisała, że polityka stała się „przystanią miernot”. Czy rzeczywiście – i nadal – jest tak źle?

M.K. Zgadzam się z Barbarą Skargą. Nie jest to wszakże pogląd nowy. Istnieje co najmniej od połowy XIX wieku. Przecież piszą o tym Nietzsche i Pareto, zupełnie inaczej diagnozując przyczyny tego stanu rzeczy. Idąc tropem Webera, można powiedzieć, że zależy to od tego, czy politykę traktujemy w demokracji jako zawód, czy jako powołanie. W demokracji polityka rozumiana jako zawód musi mieć konsekwencje w postaci drugorzędności kandydatów do tego zawodu. Natomiast po czasach silnych ideologii i czasach totalitaryzmu boimy się traktować politykę jako powołanie.

Jednak tylko tak rozumiana polityka może przyciągać postaci wybitne. Niesłusznie sądzimy, że zdarza się to tylko w okresach szczególnych, jak wojny zewnętrzne czy domowe. Gdybyśmy politykę traktowali jako rzecz śmiertelnie poważną, to byśmy starali się, jak „Ojcowie Założyciele” Stanów Zjednoczonych, skonstruować system, który wyłania najlepszych, jak tego chciał Alexander Hamilton, i co zasada wyboru za pośrednictwem elektorów do dzisiaj teoretycznie ma zapewnić. Wiemy jednak, że to się nie udało. Żeby w ogóle poważnie rozważyć te kwestie, musimy zaakceptować to, co nazwałbym demokratycznym elitaryzmem, czyli zgodę na

rządy najlepszych. Takiej zgody nie ma. Nie wiemy zresztą, bo o tym nie myślimy, jak ci najlepsi mogliby być wyłaniani.

M.Ś. Z licznych w ostatnich czasach wypowiedzi wynika, że ma Pan Profesor dość ponurą wizję najbliższej politycznej przyszłości, pisze pan o „Europie w obliczu końca”, o tym, że „sprawy tego świata zapukają do naszych drzwi” i że „hodujemy siły, które zmienią świat po swojemu”. Jakie są podstawy tego pesymizmu?

M.K. Już wspominał. Przede wszystkim stan demokracji. Niedługo ukaże się w wydawnictwie Znak moja książka pod roboczym tytułem *Demokracja się skończyła, pora zacząć demokratyzację*. Tytuł wskazuje, o co mi chodzi. Europa tylko myśli, że jest demokratyczna. To rodzaj złudzenia, które zostało na skutek powszechnej akceptacji uznane za prawdę. Demokratyzacja, czyli uporczywe dążenie do realizacji ideału demokratycznego, to jedyne dobre wyjście. Wszystkie inne są złe i anachroniczne: rozmaite wersje populizmu, rzekomo oświeconego absolutyzmu czy zwyczajnego despotyzmu lub wręcz domowej wojny europejskiej, której też nie można wykluczyć. Nadzieje w demokratyzacji pokładam nie tylko ja. Stanowi ona motyw przewodni najciekawszego współczesnego myśliciela politycznego, czyli Pierre’a Rosanvallon. Obecna Europa wciąż stara się udawać, że nie grożą jej poważne lub wręcz dramatyczne wewnętrzne konflikty. Ale już w coraz mniejszym stopniu jest w stanie chować głowę w piasek, bo musi sobie poradzić z wyjątkowo widocznym i nie nadającym się do ukrycia problemem imigracji. Tylko my uważamy, że nas to nie dotknie. Dotknie – i będziemy zupełnie nieprzygotowani.

M.Ś. Polska jest chyba najbardziej homogenicznym krajem na świecie, a jednocześnie krajem, który stanowi wyobrażony cel różnych migracji. Jesteśmy relatywnie duzi, mamy sporo ziemi, dobre rynki pracy, niezły wzrost. Imigranci będą pukać do naszych drzwi, a my jesteśmy zupełnie na to nieprzygotowani, tak ekonomicznie, politycznie, jak i edukacyjnie. Mam nieodparte wrażenie, że tolerancja w Polsce jest niczym więcej niż historycznym mitem, a nie zbiorem codziennych postaw. Inna kwestia to rola solidarności. Twierdzi Pan, że mamy do czynienia z „dramatycznym upadkiem solidarności” oraz że „skończymy marnie, jeśli rozsądni ludzie nie podejmą uniwersalnych ideałów równości i braterstwa”. Dlaczego tak wiele zależy od solidarności, równości i braterstwa? Czy nie są to idee przebrzmiałe i niedające się rewitalizować?

M.K. Równość, a zatem i idee pochodne, nigdy nie są przebrzmiałe, ponieważ wciąż nie są realizowane. Nierówność jest zawsze, i zawsze jest to skandal. Jednak można walczyć o zmniejszenie jej rozmiarów i wielokrotnie w historii najnowszej to się udawało. Nie chodzi tylko o nierówność materialną, chociaż na pewno jest najważniejsza. Zapewne jedyne, co możemy zrobić odnawiając idee solidarności

czy braterstwa, to zmniejszyć konsekwencje nierówności, tak by miały one charakter przyzwoity. A ponieważ we współczesnym świecie wszyscy dostrzegają, jak bardzo dotyka ich nierówność, więc nie tylko z racji moralnych, ale także z racji praktycznych nie można zostawić bez interwencji takich rozmiarów nierówności w zakresie dostępu do praktycznie wszystkiego. Brak reakcji sprawi, że kiedyś przeleje się czara goryczy, chociaż nigdy nie wiemy, kiedy i jakie będą tego konsekwencje. Zapewniam, że nieprzyjemne.

M.Ś. Znane są debaty między komunitarianami a liberałami; chcę zapytać o bardziej praktyczny wymiar tego konfliktu: Jak się ma wspólnotowa solidarność do uniwersalności idei liberalnej?

M.K. Spór między komunitarianami a liberałami jest poważniejszy, kiedy odnosimy go do demokracji, niż zwykle się sądzić. Liberałowie w radykalnie ortodoksyjnej wersji (typu Rawls) są w istocie antagonistami demokracji, czy może tylko konsekwencje ich poglądów nie sprzyjają demokracji z racji podkreślania znaczenia indywidualizmu i jego uniwersalnego wymiaru. Z kolei komunitarianie nie zawsze jasno mówią, czy wspólnota jest faktem, czy raczej postulatem. Z tego wynika odmienne podejście do kwestii solidarności społecznej, sprawiedliwości czy cnoty publicznej. Okazuje się, że wspólnota może być albo zagrożeniem (dla radykalnych liberałów), albo jedyną odpowiedzią na pytania dotyczące także moralnego wymiaru życia jednostki. Obie te odpowiedzi nie są zadowalające, gdyż ze względu na spór stają się coraz bardziej radykalne. Samotność czy atomizm jednostki liberalnej jest przeciwstawiany domniemanemu „ciepłu” wspólnoty komunitariańskiej.

M.Ś. Co jest największym zagrożeniem dla demokracji? Globalizująca się zachłanna gospodarka? Fanatyzm religijny? Śmierć polityki?

M.K. Niewątpliwie śmierć polityki. Czy raczej, takie określenie wolę, nie śmierć, lecz ucieczka od polityki, która prowadzi do zdominowania życia społecznego przez administrację. Administracja sama w sobie nie jest niczym złym, ale nie ma żadnego szczególnego związku z demokracją. W niedemokratycznym kraju może być dobra administracja. Natomiast demokracja jest ucieleśnieniem polityki. To polityczny egalitaryzm, jeżeli rozumiemy demokrację jako działania, a co najmniej jako prawo do działania. Demokracji bez polityki po prostu być nie może

M.Ś. Co w takim razie? Jakaś nowa ożywcza utopia? Czy w ogóle potrzebujemy wyobraźni utopijnej?

M.K. Zależy, co rozumieć, czym miałyby być wyobraźnia utopijna. Na pewno niepotrzebna i niebezpieczna jest utopia, jaką krytykował Marks, czyli wyobrażenie

stanu idealnego, racjonalne go zaprezentowanie i przekonanie, że to wystarczy do jego realizacji, bo ludzie jako istoty racjonalne natychmiast rozumieją, co dla nich jest najlepsze. Natomiast utopijnym bywa również nazywane w dzisiejszych nadmiernie racjonalistycznych i pragmatycznych czasach takie myślenie, które wybiega daleko poza to, co można przewidzieć dokładnie na podstawie stanu obecnego. Utopijnym, inaczej mówiąc, nazywa się myślenie, które wykracza poza domniemane ograniczenia praktyczne czy cywilizacyjne. Oczywiście, takie myślenie może być myśleniem idioty, ale również filozofa.

M.Ś. Powiedział Pan kiedyś, że „źródłem wszystkich naszych problemów jest upadek myślenia”. Czy mógłby Pan tym, którzy nie znają filozofii Arendt, przybliżyć tę myśl?

M.K. To nie jest specjalnie trudne. Hannah Arendt wiąże myślenie z sumieniem. Czyli jeżeli wiemy, że w ostatecznym rachunku będziemy odpowiadali tylko sami przed sobą, to musimy stale się zastanawiać, jak ten rachunek wypadnie. Bezmyślność może polegać zarówno na przekonaniu, że ktoś za nas dokona tego rachunku, czy komuś zawieramy (dla Arendt przykładem była ideologia nazistowska), lub na grzechu lenistwa, acedii, zaniechania. Dodajmy, że wielu filozofów sądziło, iż z myślenia zwolnieni są głupcy. Chętnie bym się z tym zgodził, gdybym znał dobrą definicję głupca. Inną niż „człowiek bezmyślny”, bo wtedy wracamy do początkowego argumentu. Ten błąd popełniali zwłaszcza myśliciele, którzy za głupców uważali, jak jeszcze współcześnie na przykład Habermas, ludzi upośledzonych umysłowo, a wobec tego niezdolnych do uczestniczenia w komunikacji intersubiektywnej. Nie jestem o tym przekonany, bo samo uczestnictwo w rozmowie nie gwarantuje rozumienia rozmówcy.

M.Ś. Cóż po filozofie w czasie marnym? Czy intelektualści, humaniści, filozofowie mają jeszcze do spełnienia jakąś rolę? Czy jest jeszcze dla nich jakaś przestrzeń, jakieś wyzwanie?

M.K. Czasy marne bywały i będą bywały. Właśnie wtedy najbardziej potrzebni są filozofowie, humaniści, artyści. Wtedy jest dla nich szansa. Zgadzam się z Burckhardtem czy z Witkacym, który pisał, że kwiaty ludzkiego talentu wyrastają na łąkach zroszonych krwią lub nudą. W dobrym czasie, na przykład dziewiętnastowiecznej burżuazji, filozofia była marna, w złych czasach – Odrodzenia, końca XIX wieku czy obecnie – odgrywa wielką rolę. Tylko że filozofowie sami się pogubili i zatracili poczucie powołania, jakie jest na trwałe związane z tym dziwnym zajęciem. Ale w tej mierze – i tylko w tej mierze – jestem optymistą.